

— I cóż pan na to?

— Na co?

— Jak to, nie słyszałeś pan?

— Nie, nie słyszałem.

— Jak to, nie słyszałeś pan, o godzinie wpół do szóstej rano?

Słowom tym towarzyszył uśmiech niedowierzania i zarazem politowania. Było w nich prawie coś obrażającego, tak że z chęcią uczyniłbym od wrót i powiedziałbym: „A tak, tak, słyszałem” — ale nie wiedziałem co. Czułem, że trzeba się koniecznie ratować kłamstwem, bo i dwaj uczestnicy naszej rozmowy patrzyli już na mnie z pewnym szyderstwem, — ale jak skłamać?

Żeby zyskać na czasie, okopałem się w kłamstwie przedwstępnem, pewny, że niebawem uchwycę wątek zagadki, i odparłem:

— Ależ nie, mogła być najwyżej piąta, i nawet tyle nie; było jeszcze całkiem ciemno.

Z gwałtownych zaprzeczeń wywnioskowałem, że to było napewno nie wcześniej, jak o wpół do szóstej. Oczywiście, jakieś gwałtowne strzały.

— Ale przecież uprzedzano, że będą burzyli niektóre forty... mają nawet podobno wyciąć Młociny ze względów strategicznych — próbowałem.

— Ładne Młociny! Zeppeliny, nie Młociny, kochany panie! Zdaje mi się, że się zlekka zarumienił.

— Przyznam wam, że się obudziłem na chwilę, a potem najspokojniej zasnąłem. (I to było wierutnym łgarstwem).

— No, no, wiesz panu takiego snu; przecież całe miasto nie spało. Taka była strzelanina, że mury się trzęsły. Do mnie zleciały się wszystkie baby z całego piętra, w negliżach, w koszulach, w majtkach, że bym je ratował, żeby się schronić w piwnicy.

— Tego to panu rzeczywiście zazdrozczę.

Okazało się w dalszym ciągu, że prawdziwy, rzetelny Zeppelin szybował nad miastem. Jedni jeszcze drżeli ze wzruszenia, inni z zachwytem opisywali, jak się różowił i złocił w promieniach zorzy porannej. A potem zaczęli się spierać o to, jak wysoko mógł być. Według jednych tuż nad dachami drapaczów chmur, tak że można byłoby z nim rozmawiać, gdyby nie potężne warczenie śmigieł; według innych zaś tak wysoko, jak obłoki, i wydawał się tylko jakimś maleńkim płonącym cygarem.

Stosownie do „orientacji”, jedni przyrównywali go do czegoś pięknego, inni natomiast do wielkiego, wypasionego wieprza, do brzuchatej świni itp.

Słowem, ludzie wszyscy bez wyjątku, z którymi rozmawiałem, mieli te dwie sensacje: widzieli Zeppelina i słyszeli wściekłą kanonadę kartaczownic i szrapneli, usiłujących trafić śmiałka.

Ja zaś, znany ze swojego małego talentu do tęgiego spania — wszystkich tych cudów wojny nie słyszałem i nie widziałem! Muszę teraz albo cały dzień kłamać, albo nie wychodzić z domu.

Mój czuj-duch jest na zawsze skompromitowany...

Chociaż bywając w Dreźnie i Lipsku, widziałem niejednego Zeppelina, i jego obraz mam zawsze w wyobraźni przytomny, to jednak sterowiec, który szybował nad Warszawą, nie wyrzył mi się głębiej w pamięci. Nawet to, że rzucił bombę, gdzieś podobno w pobliżu gazowni miejskiej, nie dodało mu w oczach moich namacalności. Nawet to, że, jak zapewniały gazet ugodzono goszczę śliwie i że spadł gdzieś w okolicach Warszawy. Dzienniki więcej urzędowe podawały, że spadł pod Ciechanowem — co równałoby się faktowi, że opadł spokojnie lub nawet wylądował już na terenie wojsk niemieckich.

Jeden z dzienników, chcący grać na wyżkę na giełdzie patryjotyzmu, obwieścił, że były nawet dwa Zeppeliny, że kilka aeroplanów rosyjskich puściło się za nimi w pogoń, co zresztą częściowo potwierdzili i poranni widzowie z Warszawy, i że jeden z nich przedziurawiony „kłapnął” tuż za Pragą i będzie przywieziony do Warszawy. Nie powiem, żem jego przybycia oczekiwał — choć dałbym wiele, żeby tego wieprza tak rozplatanego zobaczyć, — bom nie wierzył zgoła zapowiedzi; jakoż istotnie nie przywieziono go. Wkrótce wszyscyśmy o nim zapomnieli.

Źródło:

Cezary Jellenta, *Wielki zmierzch*, Warszawa 1924, s. 47-49.